

Jubileusz

Z dziewięćdziesiątką na liczniku

Z HALINĄ KWIATKOWSKĄ, która 25 kwietnia skończyła 90 lat, aktorką i byłą pedagog PWST w Krakowie, rozmawia córka **Monika Wysogład-Majewska**

- Dziewczę z prowincji, surowo wychowywane, zapragnęło zostać aktorką. Rodzice się nie sprzeciwiali?

- Dlaczego z prowincji? Dorastałam najpierw w Brzesku, potem w Wadowicach. Oba miasteczka przed wojną może geograficznie miały peryferyjny charakter w stosunku do przeciętne wcale nieodległego Krakowa, ale życie kulturalne rozwijało się tam całkiem bujnie. Rodzice, a właściwie ojciec, który grał pierwsze skrzypce w domu, nie mieli nic przeciw temu, abym wybrała taki zawód.

- Przed wojną zawód aktora nazywano komedianstwem. Córka Jana Królikiewicza, szacownego profesora i dyrektora wadowickiego gimnazjum miała zostać komediantką?

- Ojciec wywodził się z rodziny bogatego rolnika. Po podziale nie starczyło już ziemi dla niego, najmłodszego. W zamian otrzymał środki na kształcenie. Bardzo ambitny, uparty i zdolny, skończył studia, mówił świetnie po niemiecku, znał łacinę, grekę, doskonale orientował się w zagadnieniach historii, zarówno klasycznej, jak współczesnej. Lizał też trochę nauk ścisłych. Dużo czytał. Trudno więc nazwać go prowincjonalistą. Dbał, by jego uczniowie mieli otwarte głowy, interesowali się literaturą, sztuką. Często organizował dla podopiecznych wyprawy do Krakowa na najciekawsze wydarzenia kulturalne, również na przedstawienia teatralne. Kiedy zdałam do gimnazjum, zaczęłam brać w nich udział. Poza tym ojciec przykładał pomysłowi, byśmy stworzyły własną, szkolną scenę. Grałam więc jako nastolatka w kilku sztukach. Dzięki temu poznałam Karola Wojtyłę, któremu często partnerowałam. On również pragnął zostać aktorem. Jak wiemy, stało się całkiem inaczej. Ojciec nie miał nic przeciwko mojemu wyborowi. Postawił jeden warunek, najpierw jakieś studia, potem dopiero aktorstwo. Tłumaczył, że dzięki uniwersytetowi lepiej będzie je rozumiała. Udało mi się skończyć tylko pierwszy rok polonistyki na UJ z powodu wybuchu wojny światowej.

- W czasie okupacji niemieckiej zajmowałaś się tajnym nauczaniem, grałaś w podziemnym Teatrze Rapsodycznym, w którym występował także Karol Wojtyła, ale na ten temat rozmawiałaś z wieloma dziennikarzami, więc dajmy temu spokój. Tuż przed wojną poznałaś Tadeusza Kwiatkowskiego, początkującego pisarza i satyryka. Zaczęliście się spotykać. Po wyzwoleniu postanowiliście się pobrać. Urodziłam się za rok. Kochałaś Ojca?

- Tak. Bardzo się mną opiekował w okresie wojny i to on wprowadził mnie w świat krakowskiej inteligencji. Dzięki niemu poznałam bardzo interesujących ludzi, zwłaszcza kiedy wprowadziliśmy się do Domu Literatów przy ulicy Krupniczej w Krakowie. Do tej kamienicy zjechała śmietanka pisarzy z całego kraju, bo zapewniała im mieszkania, których nie mieli. Mieszkali tam między innymi



Automobilizm wciągnął mnie zupełnie. Tadeusz pozwalał mi jeździć swoim wartburgiem. FOT. ARCHIWUM AUTORKI

Konstanty Ildefons Gałczyński, Jerzy Andrzejewski, Stefan Kisielewski, Jerzy Zawieyski, Hanna Olczakowa.

Wspaniałe czasy, co tydzień przyjęcie w innym mieszkaniu do białego rana, pełne skrzącego się dowcipu, anegdot, intelektualnych gier i zabaw. Ten okres sprawił, że zaczęłam patrzeć na świat inaczej i w odmienny sposób osądzać ludzi. Mój ojciec zawsze powtarzał, że muszę zachowywać się tak, aby nie przynosić nikomu, głównie jemu, wstydu, więc moje reakcje nie zawsze były szczere, gdyż przede wszystkim miałam na myśli poprawność postępowania.

- To się zmieniło.
- Właśnie dzięki Tadeuszowi i Krupniczej, a także przyjaciółni z mieszkającą tam Ewą Otwinowską, kobietą wielkiej wiedzy, niezwykle nowoczesną, przy tym rozumiejącą przeżycia osób borykających się z różnymi problemami. Wzięła mnie pod swoje skrzydła i wypełniła moją zasadniczość, bo rzeczywiście czasami dawałam nią innym w kość. Tadeusz należał do ludzi bardzo tolerancyjnych, tłumaczył mi cierpliwie, dlaczego nie zachowałam się właściwie.
- A więc jednak tkwiła w tobie „wadowickość”.

- Może obronę się stwierdzeniem, że do czasów krakowskich nie miałam bliskiej styczności z artystami. Kiedy zaczęłam wśród nich bywać, początkowo ich swoboda mnie raziła, budziła zdumienie, często nawet zgrozę. Z biegiem lat to uczucie zanikło i teraz patrzę na różne ludzkie wybryki pobłażliwie, o ile nie przekraczają granic etycznych.

- Już jako kilkuletnie dziecko czułam, że Twój związek z ojcem nie jest taki, jak powinien. Jako dorastająca dziewięćdziesiętnik wiedziałam o tym na pewno.

- Rzeczywiście, nasze małżeństwo się nie udało pod kilkoma względami, o których nie chcę mówić.

- Dlaczego się nie rozwiedliście?
- Ponieważ stwierdziliśmy, że to jest nam do niczego niepotrzebne. Każde z nas miało swoje życie, ale nadal byliśmy sobie bliscy, rozmawialiśmy o naszych sukcesach i kłopotach zawodowych, po prostu przyjaźniliśmy się. No i ze względu na ciebie.

- Mnie Wasze rozstanie kompletnie by nie obeszło. I tak właściwie cały czas wolny od nauki spędzałam w domu samotnie. Tobie większość dnia zajmował teatr: próby, popołudniówki, wieczorne spektakle, potem jeszcze doszedł nocny kabaret Jama Michalika. Ojciec wiecznie gdzieś latał po mieście, często wyjeżdżał do Warszawy czy na spotkania autorskie. Mimo to z nim miałam proste, dobre kon-

takty. Z Tobą moje relacje opierały się na strachu. Byłaś apodyktyczna, wymagająca, podejrzywałaś mnie o Bóg wie co. Aby uzyskać nieco swobody, okłamywałam Cię, ale owe wybiegi dotyczyły spraw mało istotnych. Ten strach towarzyszył mi przez wiele, wiele lat. Pozbyłam się go dopiero jako już bardzo dojrzała kobieta. Nareszcie stałam się asertywna. Ale napięcie między nami ciągle istnieje.

- Ależ ja całkowicie nie zdawałam sobie z tego sprawy! Czemu o tym ze mną nie porozmawiałaś? Bałaś się?

- A jak Ci szło w roli pedagoga?
- Wykładałam w szkole teatralnej czterdziści lat. Moje stosunki ze studentami zawsze układały się wspaniale. Oczywiście, czasami na nich wrzeszczałam, obrażałam się. Uczyla ich i wychowywałam jak umiałam najlepiej. Ja też im wiele zawdzięczam. Oni mnie w pewien sposób kształtowali swoją swobodą, bujnością pomysłów, odwagą. Czy byłam w stosunku do nich zasadnicza i apodyktyczna? Nie wiem.
- Nie zapomnij, że miałaś w końcu do czynienia z obcymi osobami. Często ludzie całkiem inaczej odnoszą się do nieznajomych, a inaczej do bliskich.

- Jednak po pewnym czasie żywałam się z tą młodzieżą, wielu studentów ratowałam z kłopotów, nawet niezwiązanych z uczelnią. Czulałam dumę, że budzę w nich zaufanie. Dzisiaj, kiedy się spotykamy, najczęściej przypadkowo, witają mnie z radością. Wspaniałe uczucie. Niektórzy wybili się w zawodzie i stali znani nie tylko w Polsce.

- Zostawmy już na boku rodzinne perypetie. Więc z innej beczki. Zostałaś aktorką (pomijam epizod z Teatrem Rapsodycznym) tuż po wojnie i co?

- Znów spotkałam wspaniałych ludzi, znakomitych w swoim fachu. Po wojnie w Krakowie zaczęli kariery: Guccio Holoubek, Tadzio Łomnicki, Halina Mikołajska, Zosia Kucówna, Adaś Hanuszkiewicz, Ola Śląska. Zaangażowałam się do Teatru Słowackiego, potem przesłam do Starego Teatru, gdzie pracowałam do emerytury. W sumie uprawiałam zawód siedemdziesiąt lat.

- Ale nie było łatwo...

- Nie było. Jako młoda, niebrzydka, zgrabna i podobno zdolna dziewczyna miałam ogromne ambicje. Zagrałam kilka dużych ról, wiele drugoplanowych, lecz wciąż czułam niedosyt. Reżyserzy jakoś mnie pomijali, choć krytycy na łamach prasy pisali o mnie często w superlatywach. Najgorszy okres przeżyłam po 1970 roku. Nikt w niczym mnie nie obsadzał. Szalałam z rozpacy. Myśląc dzisiaj o mojej pracy w teatrze, z żalem

muszę przyznać, że nie doceniono moich możliwości.

- W Warszawie Twoje życie potoczyłoby się zapewne ciekawiej, z poczuciem spełnienia.

- Miałam kilka poważnych propozycji z tamtejszych teatrów, ale Tadeusz ani myślał opuszczać Krakowa. Nie cierpiał stołecznych układow i kamaryli, ciągnęło go „załatwiania”.

- Nie mogłaś jechać sama?

- W jaki sposób mielibyśmy utrzymywać dwa domy? Nie, to w ogóle nie wchodziło w rachubę.

- Domyślałam się, że kabaret Jama Michalika, w którym występowałaś dwadzieścia lat, poprawiał Ci humor.

- To prawda. Nasz zespół tworzył bardzo zgraną paczkę. Programy szły po kilkaset razy i miały szalone powodzenie. Po spektaklu często szliśmy do jakiegoś nocnego lokalu albo ładowaliśmy u nas w domu.

- I o trzeciej nad ranem budziliście mnie, osobę jeszcze niepełnoletnią, żebym z Wami balowała. Nieraz się wściekałam, bo tak hałasowaliście, że nie dało się spać.

- Prawda. Ale rzeczywiście bawiliśmy się wspaniale. Na pewno „Michalik” stanowił dla mnie artystyczną odtrutkę.

- Zawdzięczam Ci, że zaszczepiłaś we mnie ciekawość świata. Zwiedziłaś wiele krajów i ja też korzystam z możliwości podróży, gdzie się da. We dwójkę też sporo wyjeżdżaliśmy za granicę i, jak obliczyłaś, było to ponad dwadzieścia razy. Wspominałaś, że mieszkałaś w nietuzinkowych hotelach.

- Najczęściej jeździłam z Orbisem, który niestety niedawno zbankrutował. Oferował dobre warunki. Fantastyczne były prywatne wyprawy do Castel Gandolfo, gdzie z kolegami mieszkałam na zaproszenie Jana Pawła II. Tych pomieszczeń nie można nazwać hotelowymi, ale żyło się w nich cudownie. Kiedy ze swoim monodramem o papieżu pojechałam do Nowego Jorku, zakwaterowano mnie w konsulacie polskim w pokoju gościnnym, wspaniale urządzone, pełnym cennych obrazów, gdzie czułam się niemal jak na Wawelu. Wcześniej wrażenie zrobił na mnie hotel Wassertum (Wieża Wodna) w Kolonii, dokąd pojechałam na wywiad w telewizji. Był to XV-wieczny budynek otoczony fosą. Luksus, jaki tam panował, przechodził moje wyobrażenie. Cekał na mnie ogromny bukiet kwiatów i patera z przepysznyimi czekoladkami.

- Wiadomo, że miałaś serdeczne kontakty z Karolem Wojtyłą, jeszcze przed wojną i w czasie okupacji, potem kiedy został księdzem, otrzymał sakrę biskupią, kapelusze kardy-

nalski, a także później, gdy został papieżem. Ale na ten temat udzieliłaś tyle wywiadów, że trudno dodać coś nowego. Z kim jeszcze się przyjaźniłaś?

- Z Martą Stebnicką, aktorką, żoną zmarłego w 2010 roku Jerzego Ludwika Kerna. Ale jakoś to się urwało. Potem przez długi czas, co tydzień, spotykałam się z dziennikarzem, Władkiem Cybulskim, który też niedawno odszedł. Niesłychanie skryty człowiek, ale zyskałam jego zaufanie i nie było między nami żadnych tajemnic. Zresztą to ty go poznałaś ze mną, kiedy szefował ci w „Dzienniku Polskim”. Bliskie stosunki utrzymuję z Hanką Smólską, koleżanką z teatru. Mam wielu serdecznych znajomych za granicą, ale z racji odległości nasze spotkania są rzadkie.

- Dane Ci było spotkać kilka znanych osób w całym świecie.

- Tak, poznałam Johna Gielguda, Laurence'a Oliviera, jego żonę Vivien Leigh, świetnego reżysera angielskiego Petera Brooka (który mieszkał w naszym mieszkaniu kilka dni), także mojego ulubionego aktora, Jeremy'ego Ironsa. Z tym ostatnim przegadałam chyba z godzinę przed telewizyjną audycją w Kolonii, bo też udzielał w niej wywiadu.

- Jakie powieści i filmy Cię kształtowały, może wpłynęły na Twoje życie zawodowe?

- Z pewnością Tomasz Mann i Marcel Proust. Na podstawie kilku książek Manna Ewa Otwinowska kopiała sztukę sceniczną, którą Marek Walczewski i ja graliśmy w wielu miastach Polski. I jeszcze „Niebezpieczne związki” Choderlosa de Laclos, też przez Ewę adaptowane. Oba spektakle miały duże powodzenie. Uwielbiam wszystkie filmy Federica Felliniego. Uważam go za najwybitniejszego współczesnego reżysera.

- Napisałaś – dosłownie, bo ręcznie – kilka książek. Najnowsza jest ta, którą Czytelnik właśnie trzyma w ręku*. Trzeba przyznać, jesteś pracus.

- Kiedy po czterdziestu latach przestałam wykładać w szkole teatralnej, dopadła mnie straszliwa depresja. Wtedy mój obecny wydawca, Jacek Stroka, w całkowicie przypadkowej rozmowie namówił mnie do zanotowania moich wspomnień. To mi przywróciło chęć życia. Książka nosiła tytuł „Porachunki z pamięcią”. Potem ukazały się wspomnienia o Janie Pawle II, „Wielki Kolega”, które miały już kilka edycji. Niedawno teatr Rampa wydał anegdoty, jakich byłam i świadkiem, i bohaterką. A teraz wyszedł kolejny tom wspominek, w którym Czytelnik tej książki ma właśnie okazję zapoznać się z naszą rozmową. Ta robota sprawia mi frajdę. Ze trzy lata temu mój były student, a obecnie dyrektor Starego Teatru, Mikołaj Grabowski zaproponował mi rolę w „Świętoszku” Moliere. Spektakl nosi tytuł „Tartuff”. Bardzo lubię w nim grać. Ma powodzenie, co mnie cieszy.

- O ile pamiętam, egzamin na prawo jazdy zdałaś w 1958 roku. Jeździsz samochodem do dziś, co prawdę mówiąc mnie przeraża ze względu na wiek. Twoja ulubiona prędkość to 90 kilometrów na godzinę. Skończyłaś dziewięćdziesiątkę. Tyle masz na liczniku, nie tylko samochodowym, ale życiowym. Gratulacje i powodzenia.

- Aby nie zapeszyć – nie dziękuję!

* Rozmowa ta zamieściła książkę „Nie ma takiej świętej” H. Kwiatkowskiej, wydaną nakładem Oficyny KWADRAT